Opłata pocztowa uiszczona gotówką
Cena egzempl. 30 gr

KUŹNICA

SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE
DWUTYGODNIK

NR. 16 (38) KATOWICE, 15-30 SIERPNIA 1937 R. ROK II

WOJCIECH POLAK.

REWANŻ

Artykuł swój: „Problem polski na Śląsku Opolskim" drukowany w tegorocznym drugim numerze „Kuźnicy", zakończyłem słowami wyjętymi z uchwały poznańskiego okręgu P. Zw. Zachodniego: „Miarą swobód Niemców w Polsce winno być położenie Polaków w Niemczech". Widocznie Niemcy uważają tę uchwałę i podobne głosy prasy polskiej za puste frazesy, za straszaki, którymi się wróble płoszy, albo niesforne dzieci zmusza do chwilowej grzeczności! Na serio słów tych nie biorą i nie wierzą, by Polska się ośmieliła zastosować względem swej mniejszości niemieckiej te same metody, jakich używają Niemcy hitlerowskie względem naszych braci na Śląsku Opolskim. Z rzadko spotykanym cynizmem bowiem Niemieckie Biuro Informacyjne pisze z okazji wygaśnięcia Konwencji Genewskiej: *„Ubiegłe lata wykazały w praktyce, że narodowo socjalistyczne-kierownictwo państwa poważnie traktuje zasadę poszanowania właściwości obconarodowych. Dzięki wspaniałomyślnemu stanowisku Niemiec w polityce mniejszościowej, mniejszość polska żyje w granicach Rzeszy swobodnym życiem własnym w dziedzinie kulturalnej i cieszy się całkowitym gospodarczym równouprawnieniem. Należy sobie życzyć, aby z tego względu, po wygaśnięciu konwencji Genewskiej, dla Niemców nastąpiło lepsze ustosunkowanie się władz Polskich"*.

Sami Niemcy domagają się zastosowania zasady wzajemności w traktowaniu spraw mniejszości niemieckiej w Polsce; ale chyba nie wierzą zanadto w realizację tego życzenia. Takie stawianie sprawy przez Niemieckie Biuro Informacyjne jest bezczelną prowokacją Narodu Polskiego; bo trudno przyjąć, że komunikat powyższy zrodził się z naiwności lub nieznajomości faktycznego położenia Polaków w Niemczech. Wprost się oczom wierzyć nie chce, czytając te perfidne i bezczelne słowa. Jest to jednak metoda nowoczesnych Niemiec. Bezczelnością sterroryzowali Francję i Anglię i uzyskali swodobę militarną. Dziś próbują tej samej bezczelności wobec Polski. A nuże się uda! Polska zmięknie pod wpływem tego stanowczego tonu i ustąpi!

Bo jakież jest położenie faktyczne Polaków w Niemczech, w szczególności na Śląsku Opolskim?

Znana jest teza niemiecka o nieistnieniu problemu polskiego na Śląsku Opolskim, o nieobecności Polaków. Powtórzył ją znowu przed kilkoma tygodniami wobec przedstawicieli prasy zagranicznej Gauleiter Oberpräsident Wagner. Powiedział przecież: „Górny Śląsk jest pod względem językowym czysto niemiecki. (Das Bild Oberschlesiens sei auch sprachlich rein deutsch.) Górnoślązacy pragną być Niemcami, nawet ci, którzy twierdzą, że sympatyzują z mniejszością polską, w 98 wypadkach na 100 zająknięcia powiedzą, że chcą koniecznie być Niemcami. (Gerade auch solche, die angeben zur polnischen Minderheit zu neigen, werden in 98 von 100 Fällen ohne weiteres sagen, dass sie absolut deutsch sein wollen).

Niema zatem Polaków na Śląsku Opolskim, mieszkają tam tylko Niemcy i to młody szczep niemiecki (junger deutscher Stamm), który jednak jest równie wierny swej niemieckiej ojczyźnie, jak inne stare szczepy niemieckie.

To jest podstawowa teza polityki mniejszościowej praktycznego hitleryzmu w wschodnich prowincjach Rzeszy. Tezę tę realizują czynniki niemieckie na wszystkich szczeblach urzędów i instytucyj publicznoprawnych z niesłychaną ścisłością.

I tak, nie mają Polacy swojego przedstawiciela w Reichstagu. Nie mogą uzyskać posłuchania u kanclerza Hitlera, aby mu przedstawić swoje żale i zmartwienia, chociaż już drugi rok proszą o to posłuchanie. Jedyne Gimn. polskie w Bytomiu szykanuje się, wydalając uczniów z zakładu wbrew elementarnym zasodom pedagogiki i ustawodawstwa szkolnego. Zabrania się używania podręczników polskich do nauczania języka polskiego, historii i geografii. Nie pozwala się profesorom na wygłaszanie referatów kulturalno-oświatowych z ramienia polskiego uniwersytetu ludowego. Zabroniono dalszej budowy liceum raciborskiego, ponieważ nie opracowano rzekomo dotychczas planu zabudowania miasta Raciborza. Nie udziela się zezwolenia na otwarcie drugiego gimnazjum polskiego w Kwidzeniu, chociaż od roku gmach jest gotowy i wyposażony w wszystkie pomoce naukowe. Maturzysów gimnazjum polskiego nie przyjmuje się do akademii nauczycielskiej w Bytomiu, chociaż przy egzaminie dojrzałości przeprowadzonym przez delegatów fachowych niemieckich otrzymali ogólną ocenę dobrą.

Uniemożliwia się wysyłkę dzieci polskich do kraju na kilkutygodniowy pobyt wakacyjny, grożąc ojcom robotnikom zwolnieniem z pracy, odebraniem wsparcia z Wohlfarhrtsamtu, albo konsekwencjami policyjnokarnymi, jeżeli jest samodzielnym rolnikiem albo rzemieślnikiem. Akcja ta prowadzona jest z taką bezwzględnością, że „Nowiny Codzienne" w Opolu przed kilku dniami musiały zapowiedzieć likwidację akcji kolonijnej, aby nie narażać rodziców niepotrzebnie na szykany i straty materialne.

Przez ograniczenia dewizowe nie wolno sprowadzać pocztą krajowych czasopism i dzienników. Miejscowej prasie zaś dokucza się w niespotykany w kulturalnym narodzie sposób. „Nowiny Opolskie„ skarżą się w 170 numerze z dnia 29 lipca br., że jakaś nieznana siła wstrzymuje prasowe przesyłki z Polski, tak, że redakcja nie może na czas i należycie poinformować swych czytelników o zdarzeniach codziennych. Kolporterów prasy polskiej szykanuje się również w bezprzykładny sposób. W tym samym numerze z dnia 29. lipca piszą „Nowiny Codzienne" o jednym takim apostole prasy polskiej z powiatu opolskiego, który zarabia tygodniowo 18 mk. w miejscowym tartaku i na utrzymaniu ma żonę i 5-cioro dzieci w wieku od 1—8 lat. Miał tylko dwa łóżka i kiedy rok temu urodziły się bliźniaki, miejscowy oddział „Mutter und Kind" pożyczył mu łóżko w nadziei, że przestanie kolportażu. Kiedy biedny robotnik roznosił jednak dalej „Nowiny Codzienne", łóżko mu odebrano tłumacząc niedwuznacznie, że to z powodu roznoszenia dziennika polskiego.

Tępi się prasę polską miejscową i nie dopuszcza krajowej, debit na kilka miesięcy poważnym dziennikom polskim (I. K. C. zakazany jest do grudnia br.). Prasa polska zawsze dodaje otuchy, podnosi ducha narodowego, szkoli i hartuje charaktery polskie. A tego sobie hitleryzm nie życzy. Niema przecież Polaków i nie śmie ich być.

Żyje jednak żywa mowa polska na Śląsku. Lud prosty, zwłaszcza w powiatach rolniczych mówi głośno po polsku i to nawet gdy przyjedzie do miasta na targ. Tak żywa mowa polska rozbrzmiewa także w kopalniach, hutach i pociągach, którymi robotnicy dojeżdżają do „roboty" i wracają do swoich wiosek. Ona zadaje wyraźny kłam twierdzeniu Gauleitera Wagnera, byłego nauczyciela ludowego, że das Bild Oberschlesiens ist sprachlich rein deutsch. Co robić? Ano wywiesiło się na murach kopalń i hut napisy: Hier wird nur deutsch gesprochen. Na rynku w Strzelcach w dni targowe umieszcza się głośniki, przez które się woła do polskich rolników: Sprecht deutsch! W urzędach wiszą tabliczki z napisami: Der Deutsche grüst: Heil Hitler! Pojechałem z żoną do Bytomia. Wstąpiliśmy do składu i żona prosi po polsku o jakiś drobiazg. Sklepówka udaje, że nie rozumie. W tym obecna w sklepie kobietka mówi do żony: „Jo im, panuchno, to przetłomacę na niemieckie. Bo jo umia po polsku, ale nom godać po polsku nie wolno.

Niema Polaków. Tak twierdzi p. Wagner i wielu innych redaktorów z p. Schadenwaldtem z Ostdeetsche Morgenpost na czele.

Pilnują też władze niemieckie, aby lekarz, adwokat, kupiec polski nie miał co jeść. Bytomski Stadtblatt nr. 29 z lipca br. przynosi następujący apel do Niemców miasta Bytomia: Deutsche Volksgenosen, kauft nur in deutschen Geschaften! Deutsche Volksgenossen, geht nur zu deutschen Arzten und Rechtsanwalten! Ani jeden lekarz polak nie posiada kasy chorych. Szturmowano już w tej sprawie ministerstwo, ale bez skutku.

W takim Bytomiu, gdzie są dwie bursy polskie, niema Polaka rzeźnika, piekarza, właściciela sklepu kolonialnego, nie mówiąc już o innych rzemieślnikach. W przemyśle niema ani jednego sztygara, inżyniera, urzędnika Polaka.

A wreszcie jeszcze jeden przykład, jakiej swobody zażywają Polacy w Niemczech dzięki „wspaniałomyślnemu stanowisku Niemiec w polityce mniejszościowej". W maju br. zamierzał urządzić Związek Polaków pochód przez ulice Bytomia na cmentarz a w Miechowicach pochód do kościoła na nabożeństwo z okazji setnej rocznicy urodzin ks. Bończyka. Dwa dni przed planowaną uroczystością donosi tajna policja, że pochodów i składania wieńca na grobie ks. Bończyka zabrania się, ponieważ jest to prowokacja narodu niemieckiego. Pochody nie odbyły się.

„Na miłość Boską", pytają się ludzie? „Gdzież jest ten raj dzięki wspaniałomyślnemu stanowisku Niemiec w polityce mniejszościowej?" o którym pisze Niemieckie Biuro Informacyjne. Nie mają go tam. Ale Niemcy piszą bezczelnie, że jest wymarzona swoboda w dziedzinie kulturalnej i gospodarczej. Życzą sobie nawet, aby Polacy tak traktowali swoją mniejszość niemiecką, jak oni Polaków w Rzeszy.

Zgoda! Życzenie to tylko należy spełnić. Oczyścić przemysł i handel z elementu niemieckiego ale to doszczętnie. Zwolnić lekarzy Niemców z kas Chorych. Nie pozwolić na żadne pochody. (W Piekarach Śl. w lipcu br. urządziła szkoła mniejszościowa Ausflug z orkiestrą do lasu Józefskiego. Kto dał pozwolenie na ten pochód z lampionami i orkiestrą? To była prawdziwa prowokacja narodu polskiego (zajęli nie tylko drogę, ale i chodnik z jednej i drugiej strony i mówili po niemiecku). Odpowiednio wziąć w opiekę prasę niemiecką. Zamknąć na kilka miesięcy śląską „Kattowitzer Zeitung„ za jej napastliwe i Naród i Państwo Polskie obrażające artykuły. Nie pozwolić na wyjazd dzieci niemieckich na kolonie do Niemiec. Jednym słowem, doprowadzić do takiego stanu rzeczy, jaki obserwujemy na Śląsku Opolskim, gdzie według spisu ludności z r. 1935 żyje 535.000 ludności polskiej.

Musimy zdobyć się na bezwzględność, bo w walce z Niemcami przegramy, jeżeli stosować będziemy nasz przysłowiony liberalizm i tolerancyjność. P. poseł Kamiński uznał w swoim przemówieniu sejmowym z dnia 27. VII. br. za cnotę i chlubę narodu polskiego to, że dotąd nie wynaradawialiśmy siłą nikogo, a staraliśmy się oddziaływać tylko kulturalnie. Lecz poglądu tego osobiście nie podzielam. Swoją tolerancyjnością straciliśmy tysiące kilometrów kwadratowych ziemi i miliony dusz na rzecz Niemiec na przestrzeni wieków, i jeżeli ją będziemy stosować nadal wydamy na łup naszych braci w Rzeszy a u siebie wychowamy wrogów, starożytnych brutusów.

Zacznijmy więc odwzajemniać się! Niemiec mówi: Wiedervergeltung ist keine Sunde, t. zn. rewanż nie jest grzechem.

Ghetto w literaturze *)

Żydzi w handlu są już dzięki Bogu, uznawani przez Polaków za zło ogromne, z którym należy walczyć środkami bezwzględnymi. Istnieje jednak inna dziedzina, gdzie żydzi do dziś rządzą jak u siebie i wszelkie próby unicestwienia ich planowych robót spełzają na niczym, dziedzina ważniejsza od handlu, a mianowicie kultura a w węższym znaczeniu szczególnie jeden jej dział, dział literatury.

Literatura jest obok prasy jedną z najgroźniejszych broni żydowskiego państwa eksterytorialnego. Pojęli jej znaczenie żydzi i starali się tą broń całkowicie dla siebie zerezerwować i do swoich potrzeb przystosować. Udało im się to mniej lub więcej szczęśliwie. Jednym z większych sukcesów mogą się poszczycić na terenie literatury polskiej w Polsce odrodzonej. Przypominamy sobie żałosne confiteor St. Czernika w „Okolicy poetów", gdzie rola żydów w ostatnim, powojennym okresie naszej literatury została uznana jako decydująca. Dzisiaj już się na tym odcinku zaczyna trochę poprawiać, ale nie wolno nam zapominać, że żydzi dzięki swej ruchliwości umieli stworzyć szkołę, składającą się przeważnie z nieżydów, którzy, reklamując się swoją przynależnością do rasy rdzennie polskiej, bardzo łatwo przenikają i długo jeszcze przenikać będą ze swoją literaturą do duszy narodu. A jest to literatura bezwzględnie podbita psychicznie przez żydów i umacniająca jedynie stanowisko żydowsko-masońskiego ghetta w literaturze.

Ktoś, kto się nie orientuje w kwestii, zasypany lawiną żydowskich twórców pomyśli, że jednakowoż mimo wszystko w rasie tej muszą tkwić jakieś objektywne literackie wartości, skoro, nieliczni procentowo w stosunku do całości ludności polskiej, tak silny biorą udział w życiu literackiem. Tutaj trzeba odkryć jeden z chwytów żydowskich. U nich każdy, kto napisze wiersz czy nowelę, niekoniecznie dobre, jest odrazu obwoływany conajmniej jako geniusz a w każdym razie posiadającym wielki talent. Żydowska umiejętnie stosowana reklama podciąga takiego adepta poetyki czy prozy siłą swego doppingu do jako takiego poziomu i oto przybywa literaturze polskiej jedna slawa więcej. W taki sposób kwitnie u żydów produkcja wielkości literackich.

Ten kto wychodzi z dna narodu musi sobie ciężko torować drogę do sławy mimo niejednokrotnie pewnego talentu, unicestwiany często po drodze przez żydowską czerezwyczajkę literacką, przemilczany lub nazwany poprostu grafomanem przez krytykę polską. Grafomanem potrafi być każdy inteligent, który zna zasady teorii poetyki czy prozy, a jest grafomanem bezprzecznie każdy sztucznie rozdmuchany, jako bezsporny talent, żyd.

Przykład — Hemar. Czy słuchasz radia, czy jesteś w teatrze lub w kabarecie, czy czytasz jakieś nienarodowe pismo — wszędzie odbija ci się o uszy to natrętnie powtarzane nazwisko. W czym zasłużył się ten żyd dla polskiej literatury? Czy w tym, że napisał słowa do paru tang o prostytutkach i skandalach, tang, których aparaty radiowe (wstyd!) uczą śpiewać maleńkie dziewczynki? Czy w tym, że układa teksty do kabaretów i że wlewa w nie całe swoje żydowskie zamiłowania do skatologii i do pikantnych tematów? Czy w tym wreszcie, że ogłasza tu i ówdzie utwory, mające predystynować do tytułu przynajmniej wartościowych? Przypomnijmy sobie „Balladę o białym byku", podobno jeden z lepszych jego utworów. Dla zorientowania się w wartości tej „poezji" przytoczę w całości jeden rozdział wspomnianej ballady:

„I gnał bez końca —
długo — długo —
Piana spadała mu płatami z boków.
Z nastawionymi rogami
Biegł biały byk.
Dźgał go szał do wciąż dzikszego pędu
I wichru świsty koło uszu
I głuchy ryk własnej pierssi przepaścistej
I ziemi dudnienie".

To potrafi powiedzieć każdy nie mający nawet pojęcia o wymogach piękna w poezji. — Tam, gdzie Hemar umie się wystrzec brudnych właściwości swej psychiki żydowskiej, tam zamiast piękna jest tylko pustka i beznadziejna frazeologia. Słowa, słowa... Takich jak Hemar jest całe stado. Spotyka się ich nazwiska na każdym kroku. Jedni są więcej zdolni, drudzy mniej. Jedni oddają się tylko poezji jak L. Lewin, drudzy barują na wszystkich gatunkach literatury ze szczególnym upodobaniem myszkując w teatrze (jak n.p. Hertz). Głębszych wartości literatura ta nie wniosła żadnych z wyjątkiem Tuwima i kilka innych (o czym jeszcze będzie mowa). Wyzwoliła natomiast z pod władania duszy czuć i zmysły no i polityczne zachcianki komunistyczno-anarchiczne. Każdy utwór żyda, choćby nawet szlachetny w tendencji ukazuje rozpaczliwe dno psyche żydowskiej. Poezja proletariacka jest tworzona dla robotnika polskiego ale przez żydów przeważnie (wystarczy przejrzeć nazwiska) oraz przez wojtków żydowskich. Tęsknoty za rajem sowieckim, posyłane przez Wolicę z „kamiennego domu" (z więzienia), powiadają nam wyraźnie o tym zakłamaniu, w jakim utrzymuje robotnika literatura żydowsko - masońska. (Dla zilustrowania moich wywodów podaję niestety z braku miejsca tylko oderwane zjawiska nie znaczy to jednak, bym jedne uważał za mniej, drugie za więcej ważne czy istotne. Opracowaniem roli żydów w literaturze i spustoszeń, jakie w niej poczynili, powinna się zająć specjalna praca, o którą opinia narodowa od dawna prosi, a którą powinien dać ktoś bardzo blisko żydowskich kuchni literackich stojący, a tym samym najlepiej się orientujący w temacie).

Tuwim, trzeba przyznać objektywnie bezwzględnie wniósł do poezji polskiej wiele nowych rzeczy. Niektóre jego wiersze, w których wypowiada swoją zadumę nad światem i życiem w ogóle, tchną pięknem nawet na miarę światową. Ale jest tych rzeczy dobrych w każdym calu tak mała ilość, że nie one stanowią o charakterze twórczości Tuwima. Za to ogromna liczba wierszy erotycznych, w których piękno formalne i poszczególnych partii graniczy z nieetyczną myślą główną, ogromna liczba wierszy opisowo-lirycznych, pełnych bezprzecznego uroku opisowego ale naszpilkowanych równocześnie pychą żydowską i nieuzasadnioną zarozumiałością (n.p. wiersz „Trawo, trawo do kolan..."), za to wreszcie wiersze których tytułowym może być ten, gdzie przewala się burzliwy okrzyk „Rżnij karabinem w bruk ulicy", gdzie objawia się najobrzydliwszy pacyfizm i ogromna nienawiść do rycerskich tradycyj w Polsce — to wszystko Tuwima grzebie w narodowej opinii polskiej.

Niedaleko od Tuwima odbiegł żyd o arcypolskim nazwisku, Antoni Słonimski. Najmniej piszę i względnie dobrze z naszego punktu widzenia Bol. Leśmian vel Lessmann, członek Akad. Liter. — Dokoła tych „gwiazd" tworzą się całe konstelacje — Wittinów, Mieczysł. Braunów (nie mieszać z Jerzym, z „Zetu"), Pasternaków i coraz mniejszych, mniejszych, aż do tych, którzy absolutnie nie mogą się zdobyć na najmniejszy rys własnego, oryginalnego wyrazu. Oczywiście, że podobna sytuacja jest i na polu prozy, która jednak w przeciwieństwie do poezji posługuje się z nielicznymi wyjątkami nazwiskami mniej znanymi lub wręcz pseudonimami i zajmuje się przeważnie tłumaczeniami marnych powieści (z głośnych te tylko biorąc, które są apologią anarchii, komunizmu, i bezbożnictwa). Trzeba w końcu dodać, że jeden anonimowy tłumacz czy żyd pokroju Hemara wyrządza więcej szkody w literaturze niż Tuwim pomnożony przez wielokrotność. Żydzi czasami bowiem lubią przestrzegać zasady „quod licet bovi non licet „Tuwimowi55.

Literatura, w której przecież każde dzieło jest skarbem przyszłości, zarażona psychiką żydowską jest jedną z najgroźniejszych zapór na drodze do chrześcijańskiej, narodowej Wielkiej Polski. Środki zaradcze? Są częściowo. Narazie tylko obnażanie istotnego podłoża literatury żydowsko-masońskiej i ostrzeganie przed jej szkodliwością umotywowanymi wnioskami. Po dokonaniu przełomu narodowego walka z nią stanie się łatwiejsza. Przede wszystkim zdusi się jednostki żydowskie lub pod ich wpływami stojące a usiłujące nadal tworzyć. Jednakowoż pozostanie ogromna ilość książek szkodliwych z czasów dzisiejszych. Nie można będzie względem nich zastosować niemieckiego środka palenia, bo to i nie doprowadza całkowicie do celu (jakieś książki przecież gdzieś w ukryciu pozostaną i narazić się przez to można na śmieszność. Natomiast, nie mogąc zaprzeczyć istnienia tej literatury, trzeba ją będzie wyodrębnić w historiach literatury w osobny dział literatury żydowsko-masońskiej, pisanej w języku polskim. Oczywiście o dopuszczeniu tych książek do jakiejkolwiek biblioteki publicznej czy prywatnej z wyjątkiem ściśle badawczo-naukowych nie będzie mowy. Nie poruszam już tutaj kwestii Pen-clubu czy innych Związków Liter. O ich zażydzeniu każdy jest doskonale poinformowany.

Bardziej od personelu tworzącego jest przez żydów opanowany w literaturze personel techniczny. Tu się dopiero staje jasną popularność żydowskich twórców — żydzi — wydawcy znają się na reklamie. Autorzy polscy, zależni od wydawcy-żyda, bardzo łatwo przekraczają barierę, dzielącą nas od Izraela i z czczą deklamacją o humanitaryzmie powoli zaczynają pisać podług dyktanda żydowsko - masońskiej międzynarodówki. Żydzi-wydawcy to dyktatorzy smaku czytelniczego. Decydują o tym, czy dana książka nadaje się do druku czy też nie. Tu ma swe wytłumaczenie ten zalew żydowskich ramot a tak mały procent dzieł o szerszym, narodowym oddechu, które autorzy boją się po prostu pisać, nie mając widoków na ich wydanie.

Jaki jest stosunek żydowskich wydawców do polskich autorów mówią nam następujące fakty: „Rój" od autorów polskich pobiera z góry 700.-zł czy ileś tam na druk książki, po której wydaniu ciężko zdobyte przez autora pieniądze zwraca mu w ratach po 50.-zł. I to się nazywa autorskie „honorarium". Własne pieniądze, które wracają do mnie w maleńkich, kilkomiesięcznych nawet ratach. Nie koniec na tym. Firma robi na książce kolosalny interes, bo książka stała się głośną i ciekawą. Biedny autor jednak nie ogląda z tego nic i musi sugestionować siebie i przyjaciół, że jego własne pieniądze to rzeczywście honorarium, spłacane ratalnie. Aby mnie nie posądzono o blagę, podam nazwisko autora: Gąbrowicz. Tytuł książki: „Pamiętnik z okresu dojrzewania". — Podobnie zresztą było i z A. Rudnickim, gdy wydawał swoje „Szczury"). W ten skandal powinna wejrzeć nawet prokuratoria. Ten wyzysk i zbijanie interesów na czyjejś pracy woła o pomstę do nieba. — Znana jest również mocno firma F. Hoesicka, zbijająca horendalne sumy na wydawnictwach prawniczych i poetyckich. Firmę tą dzierżawi żyd Steinberg, mąż aktorki filmowej, Polki, Ćwiklińskiej (sic!). Młody poeta, wydający tomik, idzie do Steinberga — ten pozwoli położyć na książce signum swojej bądź co bądź znanej firmy, czym zapewnia książce popularność. Za to jednak p. Steinberg każe sobie słono zapłacić. Oto jest etyka kupca żydowskiego. (Wyjątkowo porządna jest f-a J. Mortkowicza). Jeszcze gorsze metody panują w innych, mniejszych wydawnictwach. Wszędzie psychika żydowska wychodzi na wierzch i propaguje się namiętnie żydowszczyznę w kulturze, wyzyskuje się i przekabaca się wreszcie na swoją stronę literatów Polaków. Wydawnictwa żydowskie niejednokrotnie podają się za polskie a nawet katolickie, wprowadzając tym w błąd polski świat czytelniczy.

Głównym środkiem zaradczym powinna tu być ustawa, któraby nakazywała na każdej książce pochodzenia żydowskiego umieszczać odpowiedni nadruk. Dalej kwestia wiąże się już z kwestią handlową a mianowicie firmy wydawnicze żydowskie muszą przejść w ręce polskie jak zresztą wszystkie inne gałęzie handlu.

Literatura jako wchodząca w skład kultury ogólno-narodowej musi być czysta i prawdziwie dobra, aby móc pobudzać bierne masy do miłości Ojczyzny czy to jako kraju czy też jako Wielkiego Narodu, aby móc pobuddzać również do pracy dla Wielkiej Polski i do walki z prawdy bezwzględne, jakimi są chrześcijaństwo i naród. I dlatego najwyższy czas, aby skończyć z tym piekłem rozkładu moralnego i narodowego, jakim jest wszechwładnie panujące w polskiej współczesnej literaturze ghetto.

W. Szewczyk.

*) Artykuł ten traktuję jako uzupełnienie cyklu artykułów „Walka z żydostwem" A. Targa, jakie ukazały isę ostatnio w „Kuźnicy".

Ważny krok naprzód

(zamiast wyjaśnienia).

Na łamach Kuźnicy dawałem wielokrotnie wyraz moim poglądom. Wynikało z nich zdecydowanie, że ideologia, którą wyznaję i w którą wierzę, to ideologia narodowo-radykalna. Z moich artykułów na łamach Kuźnicy wynikało również niedwuznacznie, że stosunek mój do bieżącej polityki w Polsce szczególnie w niektórych odcinkach jest negatywny.

W związku z moim przystąpieniem i moich kolegów do pracy w Związku Młodej Polski a więc organizacji, której część społeczeństwa i prasy chce nadać gwałtownie miano organizacji sanacyjnej- poczuwam się wobec czytelników i przyjaciół Kuźnicy do obowiązku zamieszczenia następującego wyjaśnienia:

Przede wszystkim stwierdzam z całą stanowczością, że Z. M. P. nie jest organizacją sanacyjną ani nie jest sektorem młodzieżowym w O. Z. N. Jest natomiast całkowicie niezależną organizacją, zarówno pod względem ideowym jak techniczno-organizacyjnym. Wobec tego zaś, że ideologia jaką wyznaje kierownictwo Z. M. P., co znalazło tak mocny wyraz w miesięczniku Młoda Polska, jest ideologią narodowo-radykalną, oraz że ludzie stojący na czele organizacji budzą moje całkowite zaufanie tak pod względem ideowym jak i moralnym, uważałem przystąpienie do pracy w Z. M. P. za pożyteczne dla sprawy. Sprawa zaś jest wielka i ważna. Chodzi o zdobycie jak najszerszych możliwości dla propagandy i szerzenia ideologii narodowo-radykalnej w Narodzie. W najgłębszym bowiem moim przekonaniu, jedynie te zasady mogą doprowadzić do Przełomu, który wyzwoli narodowe siły zdolne stworzyć wielkość i potęgę Polski. Z. M. P. stwarza wspomniane możliwości, stanowi zatem ważny krok naprzód. Uchylenie się w tych warunkach od współpracy z Z. M. P. byłoby sprzeniewierzeniem się zasadom ideowym, które wyznaję, a przez pozostawienie swobodnego pola działalności czynnikom wywrotowym nawet zdradą tych zasad. Czynnikami takimi są w pierwszym rzędzie, komunizm, żydowstwo i masoneria oraz ci wszyscy, którzy jawnie lub tajnie współpracują z tymi czynnikami. Byłoby to nietylko błędem ale w pierwszym rzędzie nie spełnieniem swego obowiązku.

Kierując się wyłuszczonemi powyżej pobudkami, przystąpiłem do współpracy ze Związkiem Młodej Polski w poczuciu obowiązku, jaki ciąży na mnie jako na Polaku.

Tymi samymi pobudkami kierowali się ci koledzy, którzy do współpracy w Z. M. P. na Śląsku przystąpili.

Alojzy Targ.

*

ALFRED JESIONOWSKI.

Twórczość artystyczna Pawła Stellera





Podobnie jak współczesna literatura tak i plastyka śląska jest twórczością wybitnie regionalną. Uwydatnia się to szczególnie w grafice, w której tak piękne rezultaty osiągnęli dwaj rdzenni ślązacy: Paweł Steller i Jan Wałach. W twórczości obu tych artystów przemówiła ziemia rodzinna silnym i dobitnym głosem, odsłoniła mnóstwo swych tajników dotąd ukrytych lub zapoznanych. W twórczości Wałacha i Stellera odnajdziemy pełny niemal obraz Śląska dzisiejszego, nietylko nieprzeparty czar Beskidu, cichy urok zagubionych wiosek na podbeskidziu, smętek górnośląskich hałd, zamarłych kopalń i hut, ale także i duszę ślązaka — i tego z Cieszyńskiego i tego z Śląska Górnego.

Pejsaż śląski, szczególnie Śląska cieszyńskiego, dominuje w twórczości Jana Wałacha, artysty, który w przedziwny sposób łączy w sobie prymitywną duszę górala śląskiego, jego naiwny sposób odczuwania przyrody i całego otaczającego go świata z świadomością akademicko wykształconego artysty. Paweł Steller jest artystą zupełnie innego typu, jakkolwiek w cechach zasadniczych swej twórczości, jako grafik ma wiele wspólnego z Wałachem, jest jednak bardziej jednolity, wykazuje stały postęp zarówno w artystycznym odczuwaniu jak i w technice. Steller wyszedł ze szkoły Skoczylasa, tam nabył tę doskonałą technikę, dzięki której przejawiają się w jego twórczości wszelkie walory sztuki czarno-białej. Steller nie kieruje się jak Wałach w swej pracy jedynie impulsem, emocjonalnością tworzywa. Z obranego tematu wydobywa Steller wszystkie jego walory, stara się wniknąć w różne jego aspekty i dopiero wynikiem licznych studiów, mnóstwa szkiców przygotowawczych, jest drzeworyt, który opuszcza jego pracownię. Gruntowność w opracowaniu tematu uwidacznia się szczególnie w jego znakomitych portretach typów śląskich, które uzyskały powszechne uznanie w całej Polsce, a artyście zdobyły medale, nagrody w kraju i zagranicą. Bo też w istocie stanowią one syntezę duszy śląskiej, są więcej portretem duchowym górnika, rolnika, górala śląskiego niż jego portretem fizycznym, tak zdumiewająco dobrze utrafionym. Te cechy artyzmu Stellera odnajdujemy w coraz większym natężeniu w każdej nowej pracy. Na czoło ostatnich drzeworytów Stellera wybija się niewątpliwie ekspresywna i niezmiernie sugestywna twarz „Włóczęgi". Nie podobna oderwać oczu od tej steranej łazęgowaniem i żebraniem twarzy. Niewiadomo co bardziej podziwiać w tym portrecie, czy wspaniałą ekspresję, czy kunsztowność i artyzm rzemiosła graficznego, syntezę charakteru włóczęgi czy też czysto ludzkie cechy postaci uosabiającej wieczny głód przygód i niezależności osobistej, czy też przejścia moralne i fizyczne człowieka skazanego z przymusu czy własnej woli na tułaczkę wśród obcych do końca życia. A oto inny portret, hutnik śląski. Twarz pociągła, surowa, włosy rozmierzwione, skierowane w górę, jakby płonęły, jakby artysta uwydatnić pragnął płonącą hutę, buchające z pieców ku niebu ognie ujarzmiające surową rudę dla użytku człowieka. Nie trzeba szczególnej przenikliwości ani zbyt subtelnej wrażliwości artystycznej, by na pierwszy rzut oka zdać sobie sprawę z symbolicznej wymowy portretu. Z kolei trzy typy wiejskie z cieszyńsko-śląskiej wsi.





Wodospad u źródeł Wisły.

Wpierw „filozof wiejski". Oto portret, który dobitnie charakteryzuje rozległość skali artystycznej Stellera. Poraz pierwszy w twórczości śląskiego artysty-grafika do głosu dochodzi humor. Czyż bowiem portret filozofa wiejskiego nie wywołuje od pierwszego spojrzenia uśmiechu na twarzy widza, tą trochę sztuczną dla nas, a śmiertelnie realną dla samego typu powagą, uwydatnioną w podniesionych brwiach, w dostojnych okularach, w ściśniętych poważnie ustach jakby każdej chwili paść miały ważkie, decydujące słowa? Wyobrażam go sobie w otoczeniu grona starszych i młodszych wieśniaków z rozłożoną na kolanach książką, tłomaczącego poważnie i surowo tajemnice życia, złożoność naszego żywobycia. Biada temu, ktoby chciał podać w wątpliwość słowa wiejskiego wieszcza, zaryzykować mogłaby chyba ta gaździnka, której słodka, długim życiem przeorana twarz, uśmiecha się delikatnie z innego portretu Stellera. W kąciku ust czai się lekka ironia, widocznie wieszcz przesolił, albo stara gaździnka wie swoje. Dba ona o tradycję w życiu codziennym. Misterny czepek zdobi szlachetne czoło, chusta na głowie układa się w miękkie fałdy, a rysy twarzy mówią o długim i ciężkim doświadczeniu życiowym. Całość ujmuje swą łagodnością, dobrocią. Zaprawdę, w typ gaździnki zaklął artysta całe piękno, całą dostojność ludu cieszyńskiego. Gaździnka, która wywołała tak szczery i gorący zachwyt u anglosasów zwłaszcza, to wspaniała synteza żywego, pięknego, a tak drogiego nam wszystkim Beskidu, gdzie utrzymała się stara dostojność wieśniacza, niefałszowana pobożność, niekłamana dobroć i miłość. Nie będę się już rozwodził na temat świetnego portretu, starego bacy, podobnego do pastora. Jakaż i tu znów zbieżność rzeczywistości i symbolu.

W bogatej i bardzo różnorodnej twórczości graficznej Stellera znajdziemy pozatym szereg drzeworytów pejsażowych jak „Dziechcinka" zimą, źródła Wisły na Baraniej, smutny staw przy hałdach na terenie przemysłowym, którego jedyną ozdobą jest charakterystyczna dla pejsażu górnośląskiego brzoza. Krajobraz górnośląski znalazł także swój wyraz w drzeworytach Stellera przedstawiających hałdy, kondensatory, sceny z kopalni i huty, nadto w typowych dla obu Śląsków kościółkach drewnianych, klejnotach dawnej ludowej architektury śląskiej. Nie pominął też Steller świata baśniowego oraz niektórych interesujących zabytków śląskich. Świat baśniowy reprezentuje drzeworyt przedstawiający wróżkę Solonę — a zabytki śląskie, prócz dwuch kościółków drewnianych, zamek w Cieszynie i w Skoczowie.

W ten sposób stanowią prace graficzne Stellera (wespół z twórczością Wałacha) interesujący i artystycznie wartościowy obraz współczesnego Śląska, są pięknym przejawem dobrze zrozumianego i narodowo cennego regionalizmu, który jest łącznikiem pomiędzy regionem a szerszą ojczyzną, pomostem pomiędzy sztuką partykularza a twórczością ogólnonarodową.

MARCHOŁT

Bardzo ciekawie przedstawia się ostatni (4 lipiec) nr. „Marchołta“. Nas specjalnie spośród starannie opracowanych artykułów zainteresowały dwa: Stefana Kołaczkowskiego: „My pierwsza brygaga“ czy „Kwartet“ i Artura Górskiego: „Potrzeba równowagi“. Obaj ci autorowie nadają ton temu odważnemu a znakomicie redagowanemu kwartalnikowi. Niektóre ich prace, zwłaszcza Kołaczkowskiego (np. Bilans estetyzmu) wywołują w opinii duże poruszenie. Leitmotipem ideowym obu pisarzy jest wiara w potencjonalne siły naszej wsi, stąd ich głęboki stosunek do reformy roinej. W tej dziedzinie, jak i w wielu podejściach do rzeczywistości polskiej spotykają się z młodszym pokoleniem. Cytaty z obu artykułów najwymowniej to potwierdzą. A chodzi o cytaty, gdyż tak zwartych i pełnych treści artykułów nie można bez szkody dla nich streścić.

Więc najpierw z art. Kołaczkowskiego:

Twórczość w łonie życia społecznego zaczyna się zawsze od inicjatywy, od sformułowania kierunku dążeń. A gdzie jest inicjatywa — tam zaczyna się wodzostwo. Gdzie jest wodzostwo, tam jest poczucie misji. Gdzie jest misja, tam jest poczucie wyodrębniającej godności i czerpana z niej siła moralna. Z dumy tej rodzi się chęć glorii, antycypująca ją wizja triumfu — łopoce sztandar i rozbrzmiewa pieśń. Czasem, wobec ogromu przeciwności, krzepi się ona płomieniem ofiary, czasem podnieca przekorną junacką butą. Tak poczęła się tez pieśń *My pierwsza brygada* — tak dzieje się zawsze. Wtedy tez zawsze wśród małodusznych pomrukuje się o... zarozumiałości, o szkodliwym rozłamaniu jedności społecznej, a samozwańcach.

Czy wyobraza kto sobie ruch twórczy w społeczeństwie inaczej, czy i w życiu jednostki dokonało się co wielkiego bez antycypującego przyszłość „samozwańczego“ powołania? A jednak zawsze powtarza się to samo zgorszenie, ten niepokój, to mienie się na baczności i pytanie o gwarancje. Bo historia nie jest mistrzynią życia — przynajmniej dla ogółu. Czy nauczył się kto czego z moralnych bajeczek? I czy dlatego tylko mijają bez wpływu, bo przedstawiają życie w tak karykaturalnej deformacji, jak w bajce rosyjskiej *Kwartet*, że nie podejrzewamy aktualności symbolu w niej zawartego? Opowiada w niej Kryłow o zwierzętach, chcących dać koncert; niepowodzenia swe przypisywały nie swej nieumiejętności, lecz sposobowi siedzenia. Ten sam zespół zmieniał więc ciągle miejsca, przekonany, że to da jakiś rezultat. Taka postawa, taka „struktura“ grupy z koncertu tkwi w wierze w skuteczność posiedzeń niejednej akademii, w niejednym systemie biurokratycznym, przesyca atmosferę społeczną i przysłania najbardziej palące kwestie, jak spór o porządek siadania po lewej czy po prawej stronie audytorium — postulat emigracji Żydów.

My pierwsza brygada i Kwartet — to dwa symbole. Który kryje postawę twórczą, nie trudno zgadnąć — w bajce. Trudno, bardzo trudno w życiu, bo sprowadza się to do uznania, że nasza kolej minęła, że nie ma życia społecznego bez krązenia elit, a tak trudno ustępować z pola innym. A jednak zdarza się, że ktoś rozumie. Pamiętam takie zdarzenie z lat młodocianych, które wywarło na mnie głębokie wrażenie. Po przyjeździe na studia do Lipska u wejścia do sali biblioteki uniwersyteckiej spotkałem się ze starcem, mającym wygląd uczonego. Rzecz prosta chciałem go puścić przodem. Starzec potrząsnął jednak głową i z uśmiechem znacząco powiedział: „Nie, teraz, młodzi, na was kolej“. — „Kultura“ pomyślałem sobie wtedy. Ale czyż nas nie stać na taką kulturę?

Twórczym pytaniem jest więc nie to, jak pogodzić wychowawków róznych obozów, bo w ogóle zgoda różnych struktur psychicznych jest utopią (marzenia takie to psychologia „kwartetu“), tylko skąd wypłynąć może ruch tak potęzny, żeby *ogarniając sobą przekształcał wszystkich,* urabiał inne typy narodowej psychiki, bardziej dostosowane do aktualnych zadań i to ruch, któremu ze względu na dobro całego narodu możemy przytaknąć. Może nie wyzbędziemy się naszych wad, ale w innej strukturze, w konfiguracji z innymi cechami będą one mniejszą przeszkodą.

Odpowiemy za Autora: ruch taki rodzi się w powojennym pokoleniu, ogarniającym myślą całość bytu narodowego. Nie łudźmy się, że może wyjść skądinąd.

Bez współzawodnictwa stanów, sprzyjającego wznoszeniu się na wyzszy poziom, nie ma ruchu. Tym, czym jest narodowość dla ogółu społeczeństwa, tym jest regionalizm dla dzielnic: jedynym środkiem pielęgnowania swego typu kulturalnego, stylu, czyli organicznego charakteru swej struktury. Jak regionalizm i ambicje regionalne zupełnie nie szkodzą ogółowi państwa i narodu, tak ambicje poszczególnych stanów są nawet niezbędnym warunkiem podejmowania różnych ról społecznych, sprzyjających, jak każde róznicowanie, zwiększeniu ogólnego bogactwa kultury. Bo znowu stwierdzić trzeba, że bez pewnej zawodowej, czy stanowej ambicji i godności zaginęłaby wszelka radość pracy — ustępując mechanicznemu zbywaniu jej przez obojętnego niewolnika. Jak ongiś słyszeliśmy bezmyślne zarzuty strachajłów, że regionalizm... sprzyjać może separatyzmowi dzielnicowemu, tak dziś ten sam błąd popełniamy w stosunku do ruchu ludowego. Pomijam już to, że strach przed tym, że stan jakiś domaga się swych praw, należnych z roli, tłumaczy się... uprzednim milczącym założeniem, że jednemu ze stanów pełnych praw nie można dawać.

Tak jest! współzawodnictwo stanów i regionów, a nie walka klas i separatyzmy.

A teraz pogląd na chłopstwo i inteligencję:

A faktem jest, ze człowiek żyjący normalniejszym życiem wiejskim jest pełniejszy, biologicznie biorąc zasobniejszy i ma instykty nie zdezawuowane, nie przytłumione. Traktowanie więc sił tkwiących w ludzie jako rezerwatu, skąd się oczekuje odnowy, nie ma nic wspólnego z idealizacją chłopomańską. Wytrzymałość, odporność i dzięki nim objawiona prężność mas ludowych to są wszystko fakty o doniosłym znaczeniu. Tym donioślejszym, że objawy dekadencji i rozkładu wśród inteligencji dochodzą do zenitu.

Bez uczucia narodowego nie masz dynamiki w zyciu społecznym, nie masz uczuciowych kryteriów wyboru, na zasadzie których dokonuje się organizacja całego życia zbiorowego, toteż jednym z najpilniejszych zadań jest wyzwolenie polityki narodowej z endecji. Trzeba odendeczyć endeków. Wady uporczywe, czepiące się i młodszej generacji narodowców, wskazują na tę „klątwę Atrydów“. Tylko tak niewątpliwie narodowy, jakim będzie każdy ruch ludowy, może wziąć w siebie, roztopić w sobie nacjonalizm dzisiejszy, wyzwolić go z histerii płynącej z niemocy i z kołtuństwa, prowenienciji małomieszczańskiej.

A polityka, mająca na celu sprawy kultury, musi mieć (nie tak jak zwykła dyplomacja, zapatrzona w koniunktury), wielką perspektywę historyczną — wielkie linie wytyczne! Weźmy sprawę Żydów. Żadnym zakłamywaniem się, żadnym trwożliwym przemycaniem, żadnym idiotycznym przesiadaniem, żadnym drobieniem po troszku wielkich spraw się nie załatwia. Wielkie posunięcia polityczne nie mogą być niezgodne z etyką, bo wtedy by nie były trwałe. Co zresztą nie znaczy, zeby kiedykolwiek obyć się mogły bez tragicznych kolizji.

Wielkie perspektywy kulturalne przed Polską otwiera nowy nacjonalizm polski, który taką ma koncepcję narodu:

a) Naród jest jednolitym, harmonijnym i świadomym celów tworem. W każdym okresie jego dziejów żyje w nim przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Naród jest zatem związkiem duchowym.

b) Na naród składają się masy pracujące: stan chłopski, robotniczy i średni. Inteligencja nie tworzy osobnego stanu, mieści się natomiast w tych stanach, wzgl. spełnia funkcje ponadstanowe, więc ogólno-narodowe (tworzenie kultury) i państwowe (urzędnicy). W tym pojęciu Polska Narodowa będzie w pełni Polską Ludową, gdyż w kształtowaniu swych losów uczestniczyć będzie cały naród (II punkt „Założeń ideowo-programowych grupy „Kuźnicy“).

Podobnie głęboki jest art. Górskiego. Górski opowiada się za ustrojem demokratycznym z „ośrodkiem równowagi“, t. j. „zespołem politycznym, zdolnym myśleć o całości, ożywionym sumieniem całości“. I pyta:

„Gdzie szukać elementów do takiej organizacji? W obecnym układzie rzeczy wskazać można na trzy główne, nadające się do tego, ośrodki społeczne: wieś, inteligencja młodsza i sztab wojskowy“.

Przyjmując ustrój demokratyczny, zdaje sobie Górski sprawę, że

„Wymaga on największego imperatyzmu wewnętrznej spólnoty. Spólnoty kultury, spólnoty duchowej, spólnoty etyki, spólnoty życia społecznego, spólnoty woli dziejowej“.

Naszym własnym sposobem rozwiązywanie zagadnień to będzie „połączenie sprawiedliwości społecznej z wolnością społeczną“

„Polska dzisiejsza, rozwiązując wszechstronnie i w taki sposób swe własne zadania, przy oparciu o tę tezę prawną wolności i sprawiedliwości stanie się ośrodkiem Słowiańszczyzny“.

Jakże się tu spotykamy:

„Jednostka jest nierozerwalną cząstką narodu. Pełnię rozwoju swych sił duchowych znajduje jednostka w pracy nad wielkością narodu.

W granicach określonych zasadami, jakim hołduje naród, i celami, jakie sobie wytyczył, znajdzie jednostka szeroką swobodę działania, myśli i wypowiadania się. Naród zdrowy składać się bowiem musi z jednostek nie tylko zdyscyplinowanych, ale i jednostek o mocnych charakterach.

Znalezienie granicy między wymogami zorganizowanego narodu w stosunku do jednostki, a postulatem jej pełnego duchowego rozwoju i wolności będzie największą zdobyczą kulturalną narodu polskiego, a zarazem najpotężniejszym czynnikiem promieniowania kultury i myśli polskiej na narody słowiańskie i pokrewne kulturą i psychiką“. (IV p. Założeń ideowo-programowych Grupy „Kuźnicy“).

Przytoczyliśmy tak wiele zdań z obu autorów ze względu na ciekawe myśli i wiele zbieżności z poglądami „młodej inteligencji“. Pragniemy jednakże wyciągnąć ostateczny wniosek: Polska musi być przebudowana gruntownie tak w swej strukturze społecznej jak i kulturalnej. Dokonać tego może tylko jeden ruch, o którym wyżej mowa. Nie wierzymy, by obecne ugrupowania polityczne były zdolne do przebudowy Polski. Po dojściu do władzy będą się wzajemnie szachować, będą niejako ideę przebudowy i te zadania, które ma Polska na drodze swego pochodu historycznego rozwiązywać, trzymać na uwięzi lub wyszachowywać kompromisami. Ale wtedy z tego wyrośnie tylko potworek. Rozwiązanie leży w nowym, radykalnym ruchu narodowym, reprezentowanym przez powojenne pokolenie.

WŁADYSŁAW BORTH.

Granice Województwa Śląskiego

(artykuł dyskusyjny).

Opinia publiczna całkiem błędnie łączyła los autonomii śląskiej z wygaśnięciem konwencji genewskiej, gdy tymczasem konwencja z autonomią niema nic wspólnego. Mimo to jednak w bieżącym roku w prasie i na zebraniach były dwa zagadnienia: autonomii i zmiany granic Województwa Śląskiego.

Opinia publiczna na Śląsku oświadczyła się jednomyślnie za utrzymaniem tak autonomii, jak Województwa Śląskiego. Spornym tylko pozostało, czy statut autonomiczny niepoddać pewnej rewizji, oraz czy nie rozszerzyć granic Województwa Śląskiego.

Gdy chodzi o to drugie zagadnienie, to zważyć należy:

1) Granice nie mogą być nigdy sztucznie wykrojone. Granice nakreślać powinno same życie. Obywatele znaleźć się powinni w granicach tego Województwa, w którym znajduje się ośrodek ich życia gospodarczego i kulturalnego, z którym są związani wspólnotą interesów, z którego mieszkańcami najwięcej łączą się węzłami pokrewieństwa, przyjaźni i wspólnego pożycia.

Opierając się na tej zasadzie stwierdzić musimy, że pas pograniczny Województwa Krakowskiego i Kieleckiego grawituje do Śląska — co przemawiałoby za potrzebą rozszerzenia granic Województwa Śląskiego na pograniczny pas od wschodu.

2] Województwo Śląskie terytorialnie jest zbyt małe i powinno obejmować większy obszar ziemi niż ma dzisiaj — przyczem wzgląd na odrębne ustawodawstwa sąsiednich Województw nie powinien być brany w rachubę, albowiem połączenie już w roku 1922 Śląska Cieszyńskiego mającego ustawodawstwo austriackie z Górnym Śląskiem o ustawodawstwie pruskiem w niczem nie utrudniło administracji Województwa.

I ta druga zasada także przemawia za potrzebą roższerzenia granic.

Z uwagi jednak na to, że Województwo Śląskie ma autonomię nadaną jej przez Sejm Polski w okresie plebiscytowym, a autonomia ta rozszerzoną by być musiała eo ipso także i na te terytoria, które wcielone zostałyby do Województwa Śląskiego, przeto włączenia nowych obszarów do Województwa Śląskiego powinno nastąpić tylko wówczas, gdyby to nie przyniesie szkody temuż Województwu w jego dotychczasowych granicach.

W tej chwili tylko wyłączenie dwóch powiatów z Województwa Krakowskiego i wcielenie ich do Województwa Śląskiego, a mianowicie powitau Żywieckiego i Bialskiego wszelako bez Oświęcimia leży w nteresie tak Śląska jak i tych powiatów, przyczym Województwo Krakowskie nie dozna większego uszczerbku.

Ośrodkiem gospodarczym i kulturalnym tych dwóch powiatów jest Biała-Bielsko, geograficznie i gospodarczo stanowiące jedno miasto, mimo iż politycznie należą te dwa miasta do dwóch równych Województw. Oba wymienione powiaty nie różnią się w wyglądzie od Śląska Cieszyńskiego, są kulturalne i nawskroś polskie, a dla Górnego Śląska są bodaj większym jeszcze terenem turystyki niż sam Śląsk Cieszyński i w mniemaniu powszechnem stanowią wraz z nim tak zwany Śląsk Zielony.

Historycznie też te powiaty przez długie wieki należały do Śląska a w okresie wojny Śląsk Austriacki domagał się wydzielenia ich z Galicji (Małopolski) i wcielenia do jego obszaru.

Województwo Krakowskie, do którego dziś należą, niewiele by przez to straciło, gdyż ma ono dość gór, letnisk i uzdrowisk takich jak Zakopane i Krynica ,a powiaty te uzyskałyby w Województwie Śląskim przede wszystkim lepsze drogi tak potrzbne dla turystyki mieszkańców Górnego Śląska.

Natomiast wcielenie Oświęcimia i Zagłębia Dąbrowskiego z Będzinem do Województwa Śląskiego jest obecnie nie na czasie. Chwila ta dojrzeje dopiero ówczas gdy:

1] wymienione tereny przestaną być pod względem narodowym mieszane, gdy olbrzymi procent ludności żydowskiej, jaki dziś je zamieszkuje, zmniejszy się do minimalnych granic, tak że nie będzie obawy, że nowa mniejszość zawładnie Śląskiem;

2] gdy skarb śląski wpierw rozwiąże problem mieszkaniowy i osadniczy na terenie samego G. Śląska. Ma dziś G. Śląsk dobre szosy, piękne szkoły, ale stosunki mieszkaniowe w okręgach przemysłowych są jeszcze okropne, zwłaszcza w Chorzowie i pod tym względem stoi jeszcze G. Śląsk w tyle. Nie należy się więc już w chwili obecnej domagać wcielenia do G. Śląska takich obszarów, które wymagać będą wielkich wkładów finansowych (Będzin), skoro skarb Śląski ma jeszcze wiele do wydatkowania na dotychczasowym mniejszym a dochodowo mocniejszym terenie śląskim.

WILHELM SZEWCZYK.

Wiatr nad kopalnią

c. d.

Marta nie certuje się długo z sumieniem. Ilekroć musi występować jako sędzia w sprawach swoich dzieci nie umie dokładnie odróżnić złego od dobrego. Poprostu zanika jej granica między tymi dwoma pojęciami.

— A o cóż to poszło w tej bitwie?

Staje się nagle ciekawa. Widzi już że jej Stanikowi nic nie zagraża. Że jest taki jakim był wczoraj i przedwczoraj. A nawet więcej zapobiegliwym. Bo oto uzbierał kupę węgla. Uzbierał? No, naturalnie. Dziwnie szybko przejmuje tą samą kategorię myślenia, jaką operuje Stanik.

On zaczyna opowiadać o bitce. Więc paru bezrobotnych, takich, którzy z niczego nie są zadowoleni, ofacowali przy wypłacie wsparcia urzędnika gminnego. Za nim ujęło się paru górników, będących na turnusie a również oczekujących na wsparcie. Że przecież urzędnik nie winien, iż za mało dostali wsparcia. Przecież wina jest po stronie większych. I stąd powstała bójka. Bezrobotni przeciw górnikom. Swoi na swoich. Jak psy o kawałek żarcia.

— Wy pierońskie dziady — krzyczeli na górników bezrobotni, — że mocie kąsek roboty to już sie ujmujecie za chachařami? Dczekejcie jeno, a wom tak samo dadzą w d...

I tak od słowa do pięści. Swoi na swoich. Już nawet nie o pracę, o chleb, ale o godność człowieczą. Ci w jej obronie, tamci ją kalający.

Marta nie wyciąga z tego żadnych wniosków. Mało ją to już w tej chwili obchodzi. Pomaga Stanikowi wypychać węglem miechy. Na dnie zagłębienia leżą już dwa kanciaste cielska miechów. Stanik przykrywa to wszystko chabinami i bergami. Żeby koledzy nie wysznupali. Wieczorem zajedzie tu z wózkiem, na który wywali wypchane wory. Będzie mógł węgiel sprzedać. Tanio, byle nie za darmo. Parę złotych — to kilkanaście po ludzku pomyślanych obiadów.

Marta już całkiem spokojna schodzi zboczem hałdy. Tłum na ulicy powoli odpływa małymi grupkami. Z kopalni górnicy wychodzą z noszami. Zabierają pokrwawionych górników do ambulatorium. Bezrobotni, pilnowani przez policję, patrzą się z podełba. Dwóch jest powiązanych jak woły. Miejscami syczą pierony. Ulicą przejeżdża jakieś auto. Na środku drogi czerwienieją wielkie lachety krwi. Krew na mrozie tężeje i wkrótce wygląda jak blacha. Koła przejeżdżającego auta nawijają na siebie śnieg, skropiony krwią. Śnieg sypie gęsty i droga znowu jest biała.

Więc w domu znów jest tak samo. Marta spokojnie zabiera się do roboty. Zamyka okna, przez któret nalazło do pokoju pełno zimna. Znowu chłód szczypie gdzieś wysoko na udach. Zimno skleja nozdrza jak żywica. I znów: od kredensu ku łóżkom, od łóżek ku blasze, od pieca ku stołowi. Ustawiczna gonitwa za robotą. Ustawiczna, ciągle ta sama wędrówka myśli wśród czterech ścian. Dla Marty kuchnia stanowi cały świat. Jej największą uciechą jest ten świat na swój sposób, na swój rozum odrabiać, porządkować i tworzyć. W sieni Kurczoczka rozmawia z jakąś babą. Zdaje się z sąsiadką z następnego domu. Marta wsłuchuje się w sepleniący głos baby. Tak, tak to Grzeganka. A i ta Kurczoczka — mój Boże, pranie ma a mitręży czas na gadaniu. Jak jej tego czasu potem nie brakuje. Marta by tak nie umiała odejść od roboty dla rajcowania. Nie dały by jej wanny pełne mydlin spokoju.

A Kurczoczka jakoś umie zapomnieć o robocie. — Tak to tak — myśli Marta — te młode baby. Powydowo sie to, ale do roboty okropne łajnotki. A chodzą jak pawie. Ustrojone jak komediantki. Okropne panie.

Marta nie zazdrości Kurczoczce i innym babom strojów ani wolnego czasu. Skąd by. Jest na to za dobra, aby drugim czegoś zazdrościć. Raczej życzy im jeszcze więcej dobroci. Ale nie znosi wszelkiego pańszczenia się. Jak jesteś babą górnika — myśli zawsze — to nie czyń z siebie baby jakiegoś tam urzędnika. Bo to nie pasuje. każdy mo wyglądać na to, czym jest. Gdyż inaczej — nie ma co gadać: pycha i koniec.

Kurczoczka widocznie jeszcze się nie wygadała, bo wsuwa się do kuchni Marty. Ma na sobie suknię, całą schlastaną gasnącymi mydlinami.

— Widzieliście, co?... taki wypadek, praa?

Marta krąża kapustę. Nie odpowiada nic tylko przytakuje Kurczoczce głową.

Aże sromota słuchać — klepie dalej Kurczoczka — a bo to są winni górnicy. Poco się styrkali do nieswoich rzeczy? Arbeitslory już tam wiedzą kogo i za co bić.

Marta zauważa w myśli, że rzecz staje się ciekawa. Bo ona ma na o tym zajściu nieco odmienne zdanie.

— Ale przecież to swoi na swoich — nie można wytrzymać i zaczyna gadać — a jakby tak jeden z tych turnusowców był wasz chłop, no? Cobyście pedzieli, jakby wom go jakieś tam łaziki strzaskali?

— Mój by sie tam nie styrkoł do takich rzeczy. Bezrobotni mieli recht i koniec.

Kurczoczka tuplikuje zawzięcie prawą pięścią w próżnię.

— Oni mają recht i koniec — nos jej zachodzi czerwienią jak marchew.

— Katać tam — przeczy Marta — zowiszczą górnikom roboty. Sami by chcieli na ich miejsce się wciś. Swoi gryzą swoich. Mój Boże, takie rzeczy się już dzieją.

Kurczoczka ma ochotę do dalszej dyskusji .Ale Marta zabiera się znów do krążania. Chlasta nożem głośno i przecina na pół słowa sąsiadki. Kurczoczka widząc, że Marta nie ma już ochoty do gadania, wychodzi. Marta słyszy, jak klapie pantoflami po schodach do góry. Na pewno idzie rajcować do Baranowskiej. Kapusta wyskakuje z pod noża dużymi okrajkami. Już ich jest cała kupa. Ale dla całej rodziny to jeszcze za mało. Wyciąga z pod stołu drugą główkę i odrębuje z niej nożem długie szajty. Już jest blisko południe. Ale z obiadem nie potrzebuje się spieszyć. Wawrzon przychodzi z roboty dopiero po trzeciej. Za chwilę przyjdzie Stefa. Potem już tylko pójdzie do służby pod wieczór przygotować kolację.

W sieni ktoś szarpnął drzwiami. Może to już Stefa? Nie. Kroki na schodach grzmią ciężko. Zatrzymują się niepewnie przy drzwiach Kurczoczki. Ktoś czyta widocznie szyld. Teraz przechodzą pod Marcine drzwi i zaraz jakaś pięść otwiera je z hukiem. Do pokoju wchodzi ośnieżony jakiś chłop.

— Gojka, co? — pyta się chrapliwie. Nozdrza mu przytem dymią jak niedźwiedziowi, a ponure oczy zwężają się.

— No — odpowiada z wahaniem. Odkłada na bok robotę.

— A co takiego? — zbiera się na odwagę i pyta. Nieznajomy, obciera ucho ze śniegu, który mu kapie z czapki. Wyciera głośno nos.

Na dyć — mówi prawie cicho — mocie zaroz iść na kopalnia.

— Na kopalnia?...

Otwiera usta w niemym niezrozumieniu. Serce zatrzepotało jak Staników gołąb, który się tłucze pod koszem na strychu. Nóż wypadł z ręki. Wbił się ostro w podłogę. Oczy powiędły.

— Poco? — pyta szeptem.

Chłop nie odpowiada na pytanie. Mówi nie do rzeczy. Dodaje jeszcze tylko, aby pospieszyła na kopalnię niezwłocznie, zaraz. Potem mruczy „z Panem Bogiem" i ucieka prędko i ciężko.

Marta nic nie rozumie. Nic. Może nawet mogła by zrozumieć. Ale nie chce. Nie chce wiedzieć! Oddala jak może od siebie straszną, skrwawioną myśl. Nie chce wiedzieć!! Nie chce!!... Boże!!...

Ale ta okrutna myśl wkręca się jej w mózg jak świder. Coraz głębiej, coraz boleśniej, coraz beznadziejniej.

— To niemożliwe, to jest za straszne, za okropne!!...

Wybucha płaczem. Długo gnieciony szloch napędza jej do głowy wodospadem.

Boże, Boże!!...

Wylatuje z domu. Szal wiatru owija jej odkrytą głowę w szalone zakrętasy. Śnieg sypie garściami jakby umyślnie podrzucany w oczy.

Oczy — błyszczące, ogromne, szalone.

Wiatr żrący uda jak sól.

Szloch!...

Ludzie, ludzie — kołyszący się jak kłosy samotnie wyrosłe na łąkach.

Domy — nachylające się od siebie jak plotkujące baby.

Droga idąca pod górę, pod górę, pod górę...

W kolanach — mechanizm. W sercu — coraz mocniej trzepocące się rozdartym gołębim skrzydłem to nieznane, to co ma przyjść. — — —

W głowie — rój, czereda myśli, kąsających jak mróz w odkrytą szyję.

Nie widzi Stefy.

— Każ tak lecicie mamo?...

Stefa staje na środku ulicy.

— Mamo!!!... (Chciała jej powiedzieć radosną nowinę: podwyższyli jej u państwa Mamo!!!...

Nie słyszy. Nie widzi.

Nad kopalnią powiewa ostry, świszczący wiatr. Nad kopalnią przewalają się zapasy skłębionych beznadziejnie dźwięków. Nad kopalnią sypie śnieg. Gęsty, łaciaty śnieg.

— — — — — — — —

Śnieg przysypał go, zanim go wnieśli do ambulatorium. Skrzepł na nieogolonych szkutach krwistymi bańkami. Dyszał, topniał w gorących ustach, zalanych samą krwią.

— Wawrzoń!...

Szarpie mu czarną strzępiastą koszulę na kudłatych piersiach. Szuka czegoś (tego samego szukał lekarz, ale nie znalazł).

— Wawrzoń!...

Babrze palce w krwi jak rzeźnik.

Wawrzon nie odzywa się. Leży cicho. Nigdy tak cicho nie leżał. Zawsze albo chrapał albo przewracał się z boku na bok. Zamazany jest ziemią, węglem i krwią. Nogi ma pogniecione. Od ucha aż ku brodzie ma otwartą przeraźliwie twarz.

Kiwają nad nią głowami ludzie. Ludzie o tych samych sczerniałych twarzach, którzy jej nic nie pomogą. Ludzie śmierdzący węglem i presówką.

Krew! Przypomina sobie. Była sama, tylko czerwieńsza, bo na śniegu. Ma szaloną ochotę przyprowadzić ku Wawrzynowi tamtych paru łazików. I powiedzieć im:

— Patrzcie, oto górnik. Temu zawiściliście pracy. Na tego podnieśliście pięść. Jak psy. Zowiścicie mu tej śmierci? Nie, bo tego nigdy nie zrozumiecie. Wy, którym dobrze rajcować. Ha, ha, ha, jest jedno miejsce wolne. Możecie się ubiegać o robotę. Ha, ha, ha — kto następny?...

Kiwają nad nią głowami ludzie. Ludzie podawający jej dwutygodniowy zarobek Wawrzona: — jeden złoty i dwadzieścia groszy. Tyle jest warte życie ludzkie.

Na rogach ulic rajcują bezrobotni. Patrzą się zawiśnie na powiewający nad tętniącą kopalnią wiatr. Wiatr rozganiający dym. Nad tętniącą kopalnią.

Koniec.

Jan Kazimierz Zaremba.

Żniwo

Wyzłociły się gwarne, kołyszące łany,
ogniem zorzy wieczornych, rozbłaskiem świtani.
Opalone od wichru, ściemniałe od cieni,
stoją proste, błyszczące, jak snopy promieni.

Zakasać trza rękawy do roboty szparkiej—
wjeżdżamy dzisiaj w pole z pochrzęstem żniwiarki.
Bujne nasze ogiery w żniwie spracowane,
runęły w odmęt zboża spuszczonymi łbami.

Zatargały transmisje zgrzytliwym warkotem
łamią łany srebrzyste, rozchwiane w chybocie.
Ze świstem lecą fale ścinanych pokosów,
bryzgając wierzchem pianę wybielonych kłosów.

Spiętrzają się w naręcza, jak bochny złociste
spadające brzemieniem na gładkie ściernisko.
Stal kosy wyzębionej świegotliwie śpiewa,
pieśń trudu słonecznego, zaczętego żniwa.

Od rozświtów zarania, w południa spiekotę
do nocy, łan za łanem walimy pokotem.
Aż w miesiącu nad polem pociętym w pokosy,
Zabłyśnie srebrna taśma podniesionej kosy.

J. K. ZAREMBA.

Zbiórka

Zgarniemy zboża jasne, rozplątane włosy
w słonecznym zaniedbaniu rozwite w pokosy
Zsuniemy je, ściśniemy, rękami je zgarniem
zmocujemy na snopy powrósłem mocarnie.
Stłoczymy je w stwardniałe od roboty pięści
aż wyciągana słoma w powrósłach zachrzęści.
Wieczorem gwiazdy jasne, niebieskie, stalowe,
przyjdą czuwać nad zbożem i ścierniskiem płowym.
Nad ranem mgliste świsty, perłowe i jasne
otworzą ponad ziarnem źrenice przepastne.
Aż przyjdzie południe, żarem buchające
kiedy nam jasne ziarno, odda jasne słońce.

*

HULOK HENRYK.

„Na Śląsku Opolskim"
St. Wasylewskiego

Na półkach księgarskich ukazała się najnowsza praca St. Wasylewskiego: „Na Śląsku Opolskim", jako III tom „Pamiętnika" Instytutu Śląskiego.

Przerzucamy książkę - pierwsze wrażenie - to wielka ilość ilustracji i rycin, wykonanych szlachetną techniką rotograwiury, staranny druk i układ graficzny dają jej wspaniałą szatę zewnętrzną i niewątpliwie w wydawnictwach bieżącego roku „Na Śląsku Opolskim" zajmie jedno z czołowych miejsc. A treść?

Już samo nazwisko autora daje rękojmię starannej pracy, włożonej w to dzieło, a wysoka kultura, znajomość tematu i sposób przedstawienia go, ważność zagadnienia i umiejętne zestawienie ilustracyj i treści sprawiają, że książkę czyta się z zainteresowaniem, tym bardziej, że traktuje ona nie tylko o teraźniejszości. Przed oczami czytelnika przesuwają się obrazy przeszłości Śląska, które stwierdzają, że cały Śląsk, nie tylko jest ale i był polski, nie pod Zabrzem, Bytomiem, czy nawet pod Opolem, lecz hen daleko za Wrocławiem.

Wasylewski przedstawia w swej obszernej monografii Śląska Opolskiego wszystkie dziedziny życia śląskiego od najdawniejszych czasów aż po chwilę obecną. Czytając jego dzieło, przekona się czytelnik, że Wasylewski włożył tu niezmiernie dużo pracy, Nie poprzestał na szperaniu w archiwach, nie wystarczyło mu przestudiowanie wielkiej liczby książek i broszur, o czym świadczy wielka ilość pozycyj bibliograficznych, ale sam zwiedził Śląsk Opolski, aby zetknąć się z rzeczywistym obrazem życia polskiego naszych rodaków nad Odrą. Owocem tej żmudnej pracy to wspaniałe przedstawienie ciężkiej walki ludu polskiego wszystkich stanów, nielicznego duchowieństwa polskiego, inteligencji i tego prostego a twardego Ślązaka od pługa i kilofa, który był i pozostanie ostoją polskości w Niemczech.

Obecne położenie Polaków, od podziału Śląska, obrazuje Wasylewski bardzo ogólnikowo, poświęcając mu zbyt mało miejsca w stosunku do obszerności monografii. Wspomina coprawda o dzisiejszym stanie polskości na Śląsku Opolskim i przedstawia pewne fragmenty tego życia, ale brak tam przede wszystkim tych cech, które niezbicie dowodzą, że położenie Polaków za kordonem jest b. ciężkie.

Chociażby sprawa szkolnictwa. — Pisze autor np. o szkolnictwie średnim, konieczności utworzenia drugiego zakładu, obok gimnazjum polskiego w Bytomiu. — „Dlatego usiłowania Opolan dążą zawzięcie do rychłego doprowadzenia pod dach drugiej średniej uczelni polskiej. Będzie nią liceum żeńskie w Raciborzu, którego gmach wspaniały, usilnym a zawziętym wysiłkiem całego ludu polskiego w Trzeciej Rzeszy, jest obecnie w budowie".

Tak, jest w budowie już kilka lat i jeszcze będzie kilka lat w budowie, jak nie dwuznacznie wynika z pisma nadprezydenta Wagnera z Wrocławia, skierowanego do Związku Polaków w Niemczech z dnia 23 stycznia 1937 r., w którym pisze, że zezwolenie na dokończenie gimnazjum w Raciborzu: „udzielone być może dopiero wtedy, kiedy wykończony będzie opracowywany obecnie przez miasto Racibórz nowy plan zabudowania części miasta". Tak brzmi oświadczenie p. Wagnera a tymczasem niszczą się fundamenty uczelni i przepada kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Oto jeden tylko przykład „życzliwego stanowiska" władz niemieckich.

Czytając więc niektóre rozdziały, mimo woli nasuwają się obrazy tej smutnej rzeczywistości. Dla obserwującego życie polskie na Śląsku Opolskim, wydaje się dziwnym to ogólnikowe stanowisko autora. Każda bowiem dziedzina życia polskiego nad Odrą wymaga z naszej strony jasnego i zdecydowanego przedstawienia sprawy. **Trzeba każdą sprawę nazwać po imieniu.**

Szykany ze strony władz jak i organizacji niemieckich (przede wszystkim „Bund Deutscher Osten") wobec Polaków Śląska Opolskiego, są zjawiskiem codziennym. Co prawda zmieniła się taktyka tych czynników, które od otwartej walki z polskością przeszły do bardziej wyrafinowanych metod germanizacyjnych, pomimo licznych oświadczeń najwybitniejszych osobistości niemieckich zapewniających o zaprzestaniu germanizacji.

Dziwnym wydaje się brak omówienia tych szykan na jakie są narażone polskie organizacje a przede wszystkim młodzieżowe.

Systematyczne znoszenie i ograniczanie nabożeństw polskich, zmuszanie rodziców do zapisywania dzieci polskich do szkół niemieckich, szykany wobec profesorów i uczniów jedynego polskiego gimnazjum, liczne konfiskaty wydawnictw (zbiór pieśni ludowych: „Echa Śląskie"), położenie robotnika i chłopa polskiego i wiele, wiele innych faktów i posunięć „antygermanizacyjnych" znalazłoby zapewne swoje odbicie w monografii Wasylewskiego, gdyby nie ten,... pakt o nieagresji.

H.

Polski pawilon na wystawie w Paryżu

U nas czyta się różne zdania o pawilonie polskim na wszechświatowej wystawie w Paryżu, ale na samej wystawie wśród zwiedzających ją Polaków słyszy się jedno tylko zdanie: Już bardziej Polski nie można było poniżyć w oczach narodów jak przez ten pawilon. A trzeba wiedzieć, że wystawę zwiedzają dziennie nieraz setki tysięcy turystów z całego świata i według tego jak przedstawia się pawilon każdego państwa, zwiedzający oceniają wartość tegoż państwa, jego wielkość, jego bogactwo i charakter jego narodu.

Jakże serce się kraje każdego Polaka, gdy widzi stojące obok siebie dwa pawilony. Jeden kolos, do którego napływa i z którego odpływa nieustannie olbrzymia fala ludzi — to pawilon niemiecki. Drugi mały, ukryty między drzewami, prawie pusty — to pawilon polski. U wejścia do tego pawilonu znajduje się coś w rodzaju rury cementowej, wewnątrz której ustawione są w około dość brzydkie posągi.

Czy twórcy tej wystawy nie zastanowili się nad tem, że Paryż — to miasto najwspanialszych posągów świata, których setki znajduje się na wszystkich głównych ulicach, placach, we wszystkih parkah i pałacah. Jakimże obrazem nędzy są te nasze posążki na wystawie wobe posągów francuskich w Paryżu.

Każdy naród starał się wystawić w swoim pawilonie - to przede wszystkim, co ma na eksport.

Więc Szwajcaria zegarki, Czechosłowacja szkło, kryształy, porcelanę a nawet kosze z pszenicą i jęczmieniem browarowym, Rumunia reklamowała naftę, Austria turystykę i t. p. W pawilonie zaś polskiem daremnie by szukać tych rzeczy, których sprzedaż Polska winna zareklamować, bo ma u siebie na eksport.

Nawet kawiarnia i restauracja polska wydzierżawiona francuzowi i często pusta, a naprzeciw węgierska, zawsze przepełniona — jest obiciem ducha swojego narodu. Gra, muzyka cygańska, służba, restauracyjna męska i żeńska w pięknych strojach węgierskich, budzi podziw, u wejścia na wystawę węgierską zaś sprzedaje się tanio tokaj.

Gdy u nas niefachowcy podejmują się w kraju różnych rzeczy do których nie dojrzeli, kraj cierpi, ale przynajmniej nie ma kompromitacji wobec zagranicy, ale tam gdzie świat nas ogląda i porównuje nasz dorobek i nasz charakter z innymi narodami — winni inni ludzie rzeczy ujmować w ręce.

Ten co wystawę widział.

*

Mentalność targowania

Walkę z żydostwem na odcinku gospodarczym utrudniają poważnie: niewyrobienie i niski poziom etyczny znacznej ilości kupiectwa polskiego. Na pierwsze zjawisko zwróciła uwagę w nrze 13 „Kuźnicy" Ewa w art. „Walczmy o polskość naszego handlu". — drugiemu poświęcę kilka słów.

Więc przede wszystkim ceny na naiwnego klienta, to zn. podawanie wysokich cen: naiwny, niedoświadczony klient „buli" (więc oszukuje się go), doświadczony targuje się. I oto rozpoczyna się niesympatyczne widowisko: cena pierwotna obniża się o jedną trzecią, czasem spada nawet do połowy. Wytwarza się i po jednej u kupca i po drugiej stronie u klienta mentalność targowania. W szczególnie jaskrawy sposób uwidacznia się w miejscowościach letniskowych. Podaje się wyższą cenę dorożkarz, jakkolwiek urząd gminny ustalił taksę, targuje się elegancka właścicielka pensjonatu (najmarniej pod tym względem przedstawia ją się żony lekarzy, inżynierów, profesorów, dzierżawiące lub posiadające pensjonaty) i np. z zł. 10 opuszcza na zł. 8 czy 7.

„Udrzyć głupiego" — oto zasada wielu kupców. Wypływa ona zresztą z bardzo nierealnego nastawienia kupca polskiego: z chęci prędkiego zbogacenia się.

Ten ostatni rys jest specyficznie polski, wszystkie poprzednie „zapożyczyliśmy" od żydów. Tu się dopiero widzi, jak dalece sprawa żydowska jest u nas zagadnieniem moralnym. Walka z żydostwem to walka o moralne oblicze narodu polskiego. Ale ta walka zakończy się wtedy tylko rychło i w pełni zwycięsko, jeśli równocześnie prowadzić ją będziemy z tego rodzaju zjawiskami, o jakich wyżej mowa. W pierwszym rzędzie musi kupiectwo polskie i w ogóle ci wszyscy, co w stosunku do innych występują w roli sprzedawcy, wymazać w umyśle klienta nieufność do podanej ceny, a zrodzić wiarę w słuszną cenę. To będze rewolucja moralna na tym terenie.

Budzić trzeba godność zawodową. Tutaj otwiera się pole popisu dla zarządów cechów i prasy. Wszelkie takie niesympatyczne przejawy należy piętnować.

Powstaje powoli polski stan średni w walce z żydostwem. Chodzi o to, by nie obarczyły go grzechy wroga.

M. P.

*

SATYRA

ST. PAZUR.

Na podwórku

Gdzieś tam u żerdzi podwórka
przy dywanów rannej czystce
ruda czarnej żartem burkła
byle co najoczywistsze —

I spęczniała z tego chryja
niechże broni palec boski! —
jak sprężyny, jak te żmije
chybły ku sobie kumoszki —

Zatańczyły rąk wiatraki
zahurczały rącze pyski: —
— o ty taka! — ty owaka! —
— ty z tamtym tamto! — a ty z kim!! —

Drzwi skrzypotem na się cmokły
zasuwki okien odskokły —
kamienica — głodna krowa
mamle dźwiękę! — puste słowa —

Rozszlafroczone jejmoście
mamy, frele, kolejarki
prasły w kąt patelnie, garnki,
drepcą truchtem skąd najprościej —

Suszą się zbutwiałe zęby
docinki, popychy łokci: —
— Moja pani — ta ma gębę! —
— ho ho! — i z Witkuli smok-ci —

— o cóż ony na się wpadły? —
— wiadomo jużci o córy: —
Francek Pierzyna z Przyjadlej
— flirty, zaloty, konkury —

— no wie pani — to świat brzydnie
Francek by lazł do tych wiechci? —
— toć prawda — zresztą przed tydniem
szturchnął mą Zuskę: — rod-żech-ci —

Łyka gawiedź swarne kluchy
a tam tyrczy, dudni, szuści —
niebo zmiękły chmur łopuchy
Bóg na okna story spuścił —

At — nie łatwo ich w dom wżenie
niech mię i pieron chwierutnie: —
namiętność — łogawa ksieni
senzacji rozwarła wrótnie —

*

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KATOWICE, UL. DĄBROWSKIEGO NR. 4. — TELEFON NR. 353-96 — KONTO P. K. O. NR. 304.581.

Abonament: rocznie 5,—zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł. — Numer pojedyńczy 0,30 zł.

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 500,— zł, ½ strony 250,—zł, ¼ strony 120,—. zł, 1/8 strony 60,— zł, 1/16 strony 15,— zł. — Drobne ogłoszenia 25 gr. za słowo.

Przyjmuje się tylko ogłoszenia firm polskich i chrześcijańskich

Wydawca: Komitet Red. „Kuźnicy". Red. odpow.: Wł. Drożdżyński. — Druk: „Drukarnia Narodowa" Chorzów I, ul. Krzywa 14, telefon 406-62.